

# SOCJALISTA ANTYKOMUNISTA

*Leszek Bugajski*

Tytuł jak tytuł, taki jaki powinna mieć szanująca się biografia literacka – nazwisko bohatera. Ale do myślenia daje jego rozwinięcie. *Miłość, wódka, polityka* – tak mogłaby być zatytułowana biografia na przykład jakiegoś gwiazdora rocka, który martwi się losem świata, choćby Bono z zespołu U2. Brakuje w nim czegoś? Jasne, brakuje słowa „poezja”. Ale czy rzeczywiście było ono tam niezbędne? Przecież dla przynajmniej dwóch pokoleń Polaków nazwisko Władysława Broniewskiego jest wręcz synonimem poezji, czytali jego wiersze pod szkolnym przymusem, ale również z własnej woli, a jego utwory, jak żadnego innego poety, zapadały im w pamięć. I tkwią tam, choć przez dwie dekady nic tej pamięci specjalnie nie odświeżało. No a poza wszystkim jest to poezja wybitna, z czym chyba nikt nie polemizuje i czego ze względów ideologicznych nie podważają nawet polityczni inkwizytorzy, jakich się pełno namnożyło w ciągu ostatnich kilkunastu lat, gdy tego typu odwaga niewiele już kosztuje. Książka Mariusza Urbanka też nie jest o poezji Broniewskiego, bo nie jest ona zjawiskiem dyskusyjnym czy wymagającym jakiegoś bardziej gruntownego przewartościowania; jest opisem życia poety i jeśli pojawiają się w niej fragmenty wierszy, ich analizy, to jakby poza tokiem głównej narracji. Zresztą gestem symbolicznym autora i wydawcy jest ułożenie antologii poezji Broniewskiego *Wierszem przez życie* i opublikowanie jej w takiej samej szacie graficznej, jak biografia, i w tym samym terminie – to jakby oddzielenie poezji od życia, sygnał czytelny dla każdego, zwłaszcza w zestawieniu z podtytułem książki Urbanka (zabawny detal, że w tytule zbioru poezji pojawia się słowo „życie”, a w tytule biografii jednego z największych polskich poetów słowo „poezja” się nie pojawia).

O Broniewskim było jednak przez wiele lat cicho, bo jakoś nie bardzo wypadało przyznawać się do tego, że lubi się jego twórczość, bo jednak ten *Pokłon Rewolucji Październikowej*, bo to nieszczęsne *Słowo o Stalinie*... Nie pasowały te wiersze do przemian, jakie zachodziły w Polsce, kojarzyły się z przeszłością, o której najlepiej byłoby zapomnieć, a i sam Broniewski ze swoją życiową postawą nie pasował na dobrą sprawę nikomu, bo starszym przypominał burzliwą młodość w Polsce ściskanej kleszczami poprzedniego ustroju, pierwszomajowe zabawy, członkostwo w ZMP i innych organizacjach, młodszym kojarzył się z wątpliwą finezją szkolnej analizy tekstu poetyckiego, a najmłodszym z niczym, bo po prostu nic o nim nie wiedzieli – ot, co najwyżej obilo im się o uszy nazwisko i tyle. Ale do czasu. Jakoś bowiem tak funkcjonuje kultura, że to, co w niej dobre, zawsze dziwnym trafem wypływa i szybciej lub wolniej, ale zyskuje należne miejsce. Próbowano zdyskredytować Iwaszkiewicza i zapomnieć o nim, a jednak dzisiaj jego twórczość jest znów uznawana i mnożą się książki oraz opracowania o jej autorze, próbowano „utopić” w zapomnieniu poezję Symborskiej, bo nowi śledczy wykryli, że w młodości coś tam napisała o Stalinie, ale się im nie udało. (Zabawne, nawiasem mówiąc, że z kolei innym, dzisiaj wyznającym słuszne poglądy, zapomina się to, że w młodości coś tam napisali o Stalinie).

No i przyszła kolei na Broniewskiego. Jeszcze na początku lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku próbowali zniszczyć pamięć o nim – zdobywając oczywiście punkty w rankingu politycznego entuzjazmu – hunwejbini nowego ustroju. Pojawiły się pomysły zburzenia pomnika, zmiany nazw ulic i szkół, usunięcia jego wierszy z zestawu szkolnych lektur... Raz się udawało je zrealizować, innym razem nie. W XXI wieku jednak twórczość Broniewskiego wraca, ale nie za sprawą dawnych wielbicieli i natchnionych deklamatorów jego wierszy z lat pięćdziesiątych ubiegłego wieku, lecz głównie za sprawą młodego pokolenia. Gdyby chcieć posłużyć się modnym dzisiaj określeniem, należałoby napisać, że Broniewski staje się oto na naszych oczach postacią kultową. Modny malarz Wilhelm Sasnal namalował jego potężny portret, w cennie galerii Raster zrealizowano głośny – jak to się teraz mówi – projekt *Broniewski*, czyli wystawę prac znanych artystów inspirowanych utworami Broniewskiego oraz wydano towarzyszącą jej płytę z jego wierszami śpiewanymi przez różnych wykonawców z nurtu tzw. rocka alternatywnego. Potem pojawiły się wiersze Broniewskiego w roli piosenkowych tekstów w repertuarze innych artystów, zarówno profesjonalnych, jak i amatorskich (o czym można się przekonać w Internecie), bo – jak napisali pomysłodawcy płyty *Broniewski* – „opowiadają o sprawach, które przeterminowaniu nie podlegają: o wojnie, miłości, polityce i alkoholu”.

Jasno i wyraźnie wypowiada się w tej sprawie cytowany przez Mariusza Urbanka Zygmunt „Muniek” Staszczuk, główna postać w zespole T-Love i wykształcony polonista: „Obok skamandrytów Broniewski był jednym z moich ulubionych poetów w liceum. W dużej mierze to dzięki niemu zacząłem pisać swoje teksty. Podobała mi się jego fraza, czterowersowa, karabinowa. Jego poezja była dla mnie tym, czym muzyka The Clash – ostra, uliczna. Oczywiście te jego hymny na cześć Stalina mi się nie podobają, ale za to jego lewicowa droga z czasów przedwojennych bardzo mi imponowała. Broniewskiego nie tylko świetnie się czyta, ale też i doskonale śpiewa. Jego poezja przetrwała próbę czasu, powinna być rozpatrywana poza polityką. Próba wycofania go ze szkół jest jak próba zburzenia Pałacu Kultury”. Niby tylko rockowy

krzykacz, a mówi mądrzej niż rozmaitej rangi polityczne oszołomy. No, ale może tych drugich onieśmieli zainteresowanie twórczością Broniewskiego, jakie wykazują ostatnio kręgi uniwersyteckich literaturoznawców młodego pokolenia.

Broniewski więc wraca i jednym z elementów tej powrotnej fali jest właśnie biografia Mariusza Urbanka, autora doświadczonego i zawsze piszącego w interesujący sposób o bohaterach swoich książek. Nic dziwnego, że o jego *Broniewskim* prasa pisała ochoczo i na ogół entuzjastycznie, co też ma swoją wymowę w kontekście nie tak znów dawnych ataków politycznych na autora *Elegii o śmierci Ludwika Waryńskiego*. Krótko mówiąc: Broniewski staje się intrygującą postacią dla kolejnego pokolenia, chyba pierwszego, które ma dostęp do całej prawdy o jego życiu i może czytać z jego dorobku to, co chce, a nie to, na co zezwala cenzura czy polityczna układność. Pytanie więc jest takie: co intryguje w Broniewskim? I najkrótsza odpowiedź na nie brzmić chyba powinna: niezłomność. A nieco dłuższa: niezłomność, wielki talent i wręcz rock-androllowy styl życia.

Talent – wiadomo, opisany, zbadany i badany nadal, ale wielu nowych odkryć po tych badaniach spodziewać się chyba nie można. Natomiast ten – w dzisiejszym pojęciu – rockandrollowy styl życia z pewnością budzi sympatię młodego pokolenia, jest mu znany z mitotwórczych opowieści o gwiazdach rocka, choć sam Broniewski nie miał rockandrollowego wyglądu i przez większą część jego życia nikt na świecie jeszcze nie wiedział, że będzie istniało coś takiego, jak rock and roll. Ale liczy się co innego: nieustanny bunt przeciwko światu, proste i dobitne wyrażanie tego buntu w utworach artystycznych, szczerłość w uczuciach i jednocześnie luzackie podejście do mieszczańskich norm obyczajowych, skłonność do używek i starceńcze folgowanie nałogowi, który ma być lekiem na wewnętrzne bóle egzystencjalne i sposobem na zapomnienie kompromisów, którym trzeba było ulec, by istnieć w publicznym obiegu. No i te anegdotyczne opowiadki o jego popisach w staniu na rękach czy o pijackiej kąpieli w rynsztoku... Toż to przecież punkt po punkcie życiorysowa opowieść o legendarnych rockowych straceńcach, od Jimiego Hendrixa do Amy Winehouse, i brewerii, jakie wyczyniali w hotelach i nocnych klubach. Z tym wszystkim też więc nie mamy kłopotu – można założyć, że skoro młodzi się dowiedzieli o takich zachowaniach świetnego poety, to poczuli do niego sympatię i traktują jak swojego. Gdyby jednak na tym „wyczerpywał” się nam Broniewski, mielibyśmy do czynienia tylko z jakimś duchowym ojcem na przykład Rafała Wojaczka, poetą, który nie radzi sobie z życiem i ze sobą, jest nadwrażliwcem etc. Jego przypadek jest o wiele bardziej skomplikowany. I to właśnie uświadamia biografia Urbanka. A kluczem do tego, co uświadamia, jest słowo niezłomność.

Wiem, że to słowo jako określenie człowieka zostało już tak nadużyte i wyświechtane w rozmaitych politycznych biografiami, zwłaszcza pisanych w minionym ustroju, że trochę wstyd się nim posługiwać, ale skoro mamy przypadek pasujący do niego jak ulał, to po co wydziwiać. Książka Urbanka jest opowieścią o człowieku niezłomnym, o facecie, który choć się zmieniał, to jednak był wierny sobie, choć upadał i doznawał nieszczęść, to jednak nie zmieniał poglądów, a nawet miał od czasu do czasu odwagę zamaniifestować je publicznie, nawet wtedy, gdy groziło to mocnymi w skutkach konsekwencjami. Żeby być w zgodzie z prawdą, trzeba dodać, że jego odwaga często napędzana była alkoholem, a jej konsekwencje, jeśli by były, to i tak

mniejsze niż w przypadku osoby gorzej ulokowanej na społecznej drabinie państwa demokracji ludowej. Był bowiem sztandarowym artystą powojennych porządków politycznych w Polsce, ale wcale nie czuł się z tym komfortowo i wcale mu to nie przeszkadzało pouczać „w stanie wskazującym na spożycie” młodych literatów – jak wspominał Aleksander Wat: „Ważyka mam w dupie. Jak umrę, to napiszcie na nagrobku: Tu leży ktoś, kto wszystko i wszystkich miał w dupie”. Dzisiejszym młodym trzeba przypomnieć, że poeta Adam Ważyk zanim stał się subtelnym eseistą o europejskim szyku, był kimś w rodzaju komunistycznego politruka i dysponował sporą siłą działania.

Taki wyznaniemi musiał Broniewski zaskakiwać, bo przecież – jak się rzekło – był sztandarowym artystą powojennych porządków politycznych, ale nie zawsze pokornym, choć też nie za często pakował się w sytuacje konfliktowe, pewnie – jak myślę – czując jednak wdzięczność za pomoc okazaną mu w okresie ciężkiej choroby żony i jej pobytu w szpitalu w Szwajcarii. Korzystał z tego, co mu władza miała do zaoferowania, bo chciał wygodnie żyć, i gdzieś tam się z nią solidaryzował na poziomie idei oraz hasel, ale nie na poziomie konkretnych pomysłów i ich realizacji. Dlatego miał odwagę odmówić prośbie samego Bieruta, by napisał nowy tekst polskiego hymnu, i dosadnie tę propozycję skomentować. Leżąc w szpitalu, odesłał prezenty od najwyższych władz państwowych z ironiczną prośbą, by przekazać je innemu pisarzowi, akurat przez tę władzę uwięzionemu. A kiedy wymawiano mu autorstwo *Słowa o Stalinie*, miał się wściekać i krzyczeć, „że jego bito w mordę, więc może pisać, co chce i jak chce, i nikt nie ma prawa zarzucać mu zdrady własnego życiorysu”. I ten jego krzyk z powodzeniem można odnieść także do sytuacji, w których ujawniał się jego sprzeciw wobec aberracji komunistycznej władzy.

Związał się z lewicą już w latach dwudziestych XX wieku, mimo że – mogłoby się wydawać – ani pochodzenie społeczne, ani wcześniejsze życiowe usytuowanie (oficer legionów) nie zapowiadały tego. No i pisał porywające wiersze buntownicze, współpracował z lewicowymi czasopismami i już przed wojną trafił do więzienia za poglądy. Miał więc dobrze ocenianą przez władze powojennej Polski przeszłość. Później trafił do sowieckiego więzienia i przesiedział w nim kilkaset dni. Kiedy wyszedł i wyostał się z ZSRR z armią Andersa, był antykomunistą o przekonaniach socjalistycznych, jak to określa Urbanek. W jednym z listów pisał: „Ja się nie zmieniłem, co innego się zmieniło”. Zresztą także w wywiadzie udzielonym w Jerozolimie mówił – jak referuje jego biograf – że „skoro znalazł się tam w więzieniu, to znaczy, że to tam coś się zmieniło. Mówił «tam», ale dla czytających było oczywiste, że mówi o ZSRR”. Władza chciała w nim widzieć i widziała swojego człowieka, poetę na zawsze rewolucyjnego i posłusznego ideologii, a on przeżywał rozterki, postulował, „by wreszcie odłożyć bagnet i pisać inaczej”, uczyć „ludzi na powrót umiejętności kochania i odczuwania piękna”. Ale kiedy nastąpił przełom październikowy, nie odciął się od swojej lewicowej postawy z gorliwością jego młodych wówczas wielbicieli. Oni łatwo „przeszli od apoteozy stalinizmu do jego bezwzględного potępienia”, a on pozostawał sobą. „Tak, jakby chciał podkreślić, że w odróżnieniu od nas nie zmienia poglądów” – wspominał Andrzej Mandalian. I znów nikomu nie było z nim po drodze. Im był starszy, tym bardziej był samotny i tym głębiej pogrążał się w chorobie alkoholowej, której rozwój przyspieszyła tragiczna śmierć ukochanej córki. I był coraz mniej wygodny dla wła-

dzy, która w końcu zamknęła go – wprawdzie na krótko – w psychiatryku, co dla niego było jednoznaczne z kolejnym uwięzieniem.

Wygląda więc na to, że to jego nieprzystosowanie najbardziej imponuje młodym, że starał się być ideowym człowiekiem lewicy poza partią komunistyczną i bezwzględnie narzucaną przez nią dyscypliną. Młodzi wiedzą, że lewica jest potrzebna naszej rzeczywistości, ale nie chcą wiązać jej ze skompromitowanymi modelami jej funkcjonowania. Swoją drogą ciekawe, czy rzeczywiście widzą w nim wzorzec... A jeśli tak, to trudno sobie wyobrazić, co z tego wyniknie.

*Leszek Bugajski*